Rok IV.

Nr. 26. Nr. 26.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po 1½ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 27 czerwca 1874.

Xięgarnia K. Rejzner (Chotomski) ulica Wodna Nr. 15, na rogu Wielkich Garbar.

O wpływie naszej prasy na nasz rozwój społeczny.

Zarzucają nam prywatnie, a „Gazeta Toruńska" publicznie — że nasze pismo nic a nic nie ma wspólnego z naukowością.

Żałujemy, że ci panowie i korespondent „Toruńskiéj Gazety" — nie ukończywszy szkół, nie chcą nic wiedzieć o filozofji. Z téj nauki dowiedzieliby się, że: Filozofja jest to nauka, któréj celem jest dochodzić prawdy.

Filozofować — jest to badać jaki niebądź przedmiot — myśląco.

Według Oskara Żebrowskiego*) klasyfikacji nauk, część filozofji Bijogenja obejmuje: Psychologję istot stworzonych czyli znajomość konstytucji umysłu i jego objawów. Podziela się ona na:

Psychologję naturalną, badającą konstytucję umysłu tych istot stworzonych, i na

Psychologję towarzyską, która bada objawy tego umysłu w miarę jego rozwoju w społeczeństwie.

Ta druga umiejętność psychologijna (duchowa) śledzi najpierwéj: objawy inteligencji w obszarze myśli wyrażonéj słowem, z czego wypływa glossologja: a ta rozdziela się na: lingwistykę czyli znawstwo języków, i na literaturę.

Z drugiéj strony rozgałęzia się na etykę, a ta rozdziela się na: prawo naturalne (droit naturel) i na moralność. Wszystkie te umiejętności kierują myślami i czynami ludzi w gronie swych bliźnich.

Może te osoby zażądają innego podziału?... Możemy im służyć klasyfikacją Ampère'a, Trentowskiego, Kanta, Libelta, Schultzenstejn'a... Z każdéj przekonać się mogą, że nie przekraczamy granic naukowości, badając sprawę teatru, która dla nas jest zresztą tylko pierwszém polem walnéj walki, bo celem naszym jest: przywrócenie majestatu opinji publicznéj, przed którym drżą ludzie słabi, a kryją się źli — niby karaluchy przed światłem.

Walka, którąśmy rozpoczęli od pierwszego nieomal numeru naszéj redakcji, a którą, mamy w to silną wiarę, przeprowadzimy zwycięzko lub padniemy jak na rycerza przystoi, — ta walka, powtarzamy, jest czysto naukową, filozofijną, moralną.

Dotąd patrzeliśmy za daleko i za wysoko. Wpadaliśmy w każdy dołek, który nam podkopano. Budowaliśmy z byle jakiego materjału nasze bardzo zacne przedsiębiorstwa. Korzystali z tego ludzie niegodni nazwy Polaków, bo zapominali — że świętsze są obowiązki dla kraju, niż dla siebie i swoich. Prasa nasza ślepa na to co ją otaczało, — przyklaskiwała zuchwałości panoszących się krzywdą bliźnich dorobkiewiczów. W pysze potrącał taki Berends swoją karetą jadąc do bióra Tellusowego — uczciwych, zacnych, ofiarnych pieszo idących chlebodawców, — a tego łotra klika wyśmiewała się przy szampanie z „głupców", których pieniądze złożone na publiczne cele marnotrawiono.

„Siła, zręczność, podstępność przed prawem" — hasło moralnie upadłéj na zachodzie Europy — zaczęło i u nas wciskać się w łono naszych dworów i chat. Jakieś Strousbergi, Mirès'y, Pereiry i tym podobni łapigrosze stali się ideałami matek i córek. Ztąd szał giełdowy, porywający nawet ludzi nauk do biór bankierskich. Nie mający pojęcia o handlu — i do tego najtrudniejszym, t. j. pieniędzmi — dyrektorowie improwizowani, — dzieciakami z ławek szkólnych pozapełniali swe bióra. Nie dziw, że przebiegli oszuści trząsając niedoświadczoną żakownią i dudkiem dyrektorem — łowili sobie

*) Strona 136 dzieła znakomitego i najnowszego w téj materji: „Architectonique universelle ou système des réalités de l'univers et des sciences qui leur correspondent formant l'introduction à toutes les encyclopédies" par Oscar Żebrowski. Paris, 1873. Gauthier-Villars (Mallet-Bachèlier) 8o. 149 str.

pieniądze, rozrzucając w otoczeniu swém — odrobiny swych „zdobyczy.“

Tego wszystkiego nasza prasa albo nie widziała — gapiąc się na Mexyk, Japonję i t. d., lub kłócąc się zacięcie o czcze słowa, — albo i widziała może, ale wrzeszczała „co za wielki człowiek“ — każdymu, który w imię rozwoju przemysłu lub bogactwa narodowego, potrafił zgromadzić garstkę złota — na pastwę jakiemuś żydkowi lub takiemu, co umiał łapnąć z kieszeni swego bliźniego zręcznie — nieco grosiwa.

Zafukano opinję publiczną. Umysły obałamucono czczemi frazesami lub przewrotnemi zasadami nibyto ekonomji politycznéj. To jest zasługa naszéj prasy — bo ona nie zapobiegła żadnéj naszéj klęsce, — a pochłonąwszy w się najpowierzchowniejsze blichtry nibyto nauki, literatury, sztuk pięknych, przemysłu, rolnictwa i handlu, — tak nas oszołomuniła, że xiążek już nie kupowano — i uczono się z gazet. Prasa nasza na nasze stosunki najszkodliwszy wywarła wpływ, — bo nie była głosem opinji publicznéj.

My nie pójdziemy jak owca tam, gdzieby ją owczarze ze swemi pieskami kierować chcieli. Zapowiedzieliśmy — że będziemy po nad naszemi pismami — niby języczek u wagi. Mamy myśl przewodnią, jasną i wybitną w naszym programie — i dojdziemy do celu.

Zresztą charakterystyka pism naszych, według naszego widzenia rzeczy, jest taką:

„Kurjer Poznański“ — nibyto w obronie religji — broni jéj w naszém polskiém kółku, w polskim języku, choć nikt z Polaków, ani kalwinów, ani żydów, a tém mniéj katolików — jéj nie zaczepia. Z Niemców nikt go nie czyta, chyba w dwóch dziennikach niemieckich i na policji. Dziennik ten polski dla kilku czytelników Niemców — to za wiele, i w tym celu zupełnie zbyteczny. Właściwie — nie występuje on nawet w obronie religji — ale w interesie sług kościoła (którzy nie są religją), w interesie rzeczywiście zagrożonym a dziś nawet w interesie nieomal narodowym, — ale nie zagrożonym przez polską publiczność. Zużywa resztę sił swojich w kłótniach z „Dziennikiem Poznańskim“ o to: czy „kościół i narodowość“, — a gdy się na ten temat zmęczy, o to: czy „wiara i język.“

Na to mu żarliwie odpowiada „Dziennik Poznański“: Nie! narodowość i kościół“ — albo „język i wiara.“ Przyparty za nadto przez Kurjera, więcéj konsekwentnego, odpowiada stereotypowo: „milczeniem pogardy.“ Na wypoczynek lula się w kwestjach i kombinacjach politycznych, wręcz przeciwnych Kurjerowi.

„Wiarus“, syn młodszy Dziennika, gdy zaczął być krnąbrnym pod redakcją Krajewicza, — urodził „Ognisko.“ Co o tém niezależném dziś piśmie mówi „Toruńska Gazeta“ — jest złośliwością tendencyjną. Widocznie chce je zabić, choć p. korespondent radzi mu tylko — kaganiec założyć na pysio — żeby tylko warczeć mogło. Wpływ „Ogniska“ za krótki, — ale rokuje wiele.

„Orędownik“, starszy syn Dziennika, wzięty był na pasek akcjonarjuszów — jak ś. p. „Gazeta Wielkopolska.“ Za nieposłuszeństwo ojcu — chciał go tatuś obić. Urwał się — i poszedł służyć — sługom kościoła — z rozpaczy i przez zemstę na tatusia. Poszedłby djabłu samemu oddać się w pazury, byle to było ztruło jego rodzica. Wiele prawdy, wiele poglądu śmiałego, wiele niezależności i dobréj wiary — udowodnił w swych artykułach. Ale uderzenie na uczciwe i pracowite stowarzyszenie „Ula“ zdradza wpływ — nieprzyjazny sprawie narodowéj — i udowodnia jego zawisłość od koterji kosmopolityczno-finansowéj.

W obec tych organów — „Gazeta Toruńska“ pod przeszłą redakcją przerzucała się niby sierp w powietrzu, stósownie do życzeń tych, co ją płacili. Pod nową jéj redakcją będzie niewątpliwie echem Dziennika Poznańskiego redakcyjnych zachcianek.

„Przyjaciel Ludu“ chełmiński za nowéj nieudolnéj redakcji — ten znów stał się echem Kurjera Poznańskiego co do spraw Don Carlosa, o których chłopom polskim rozprawia. Po co? na co? Za dawnéj lud go nazywał: „Nieprzyjacielem Ludu.“

Że z taką prasą nie daleko się zaszło — nie dziwy. Że obywatele polscy woleli trzymać niemieckie gazety, gdy im chodziło o dowiedzenie się tego co się u nas dzieje — to naturalném. Może Ognisko zastąpi ten brak i pójdzie śmiało w kierunku interesów wewnętrznych naszych, — ważniejszych niż obce, — i pójdzie niepodlegle. To zależy od poparcia jakiego dozna od publiczności — i tego mu życzymy. Zniewoliłoby to i redakcje innych pism, a mianowicie Dziennika Poznańskiego, oglądać się na sprawy krajowe wyłączniéj, — ze saméj obawy konkurencji.

Natenczas Orędownik i Ognisko rzeczywistéj nabrałyby wartości, trzymając w ciągłym szachu zachcianki — patryarchalnéj przewagi obecnéj redakcji Dziennika Poznańskiego.

Co o naszém piśmie trzyma Toruńska Gazeta, to umieściliśmy na końcu tego numeru a sąd o tém pozostawiamy zupełnie czytelnikom Tygodnika Wielkopolskiego.

Wyprawy naukowe w celu spostrzegań przejścia planety Wenus po widomej tarczy słońca.

W chwili gdy to piszemy, świat gwiaździarstwem zajęty przygotowuje się z najżywszém wytężeniem i z ogromnemi funduszami pieniężnemi do sprawdzenia czyli do obliczenia, ażali kąt parallaxy słonecznéj obliczony przy zaćmieniu słońca w 1769 przez Wenus ma 8 sekund i ośm dziesiątych, czy 8 sekund i dziewięć dziesiątych sekundy. Chodzi tu więc o rozwartość kąta okiem niedostrzegalną. Na naszych zegarkach n. p. pomiędzy jedną cyfrą godzinną a drugą ma łuk zwykle 5 przedziałek, każdą po minucie czasowéj miary. Każda z tych minut obejmuje 6 stopni. Wypadłoby tedy podzielić jednę taką minutową przedziałkę na 360 części czyli sekund i z tych sekund znowu każdą na dziesięć równych części, czyli jedną przedziałkę minutową naszych zegarków na 3600 części. Otóż chodzi o to ażeby się przekonać, o jaką cząstkę jednéj trzytysiącznéj sześćsetnéj części łuku zawartego pomiędzy jedną kreską a drugą minutową, na tarczy pierwszego lepszego zegarka czy zegaru, zachodzi pomyłka w dzisiajszych astronomijnych obliczaniach.

Ażeby to sprawdzić dał rząd amerykański republikancki Stanów Zjednoczonych północnéj Ameryki 750,000 franków w ogóle; rząd republikancki francuzki daje 100,000 franków na same nowe narzędzia i koszta wyprawy okrętu z płacą uczonym astronomom; autokratyczny rząd Rosji daje przeszło 150,000 rubli; Anglja, Niemcy, Szwecja przeznaczyły znaczne także sumy na ten sam cel.

Powarjowali chyba — pomyśli niejeden który patrzy na nauki niby wół na nowe wrota — a mimo to w czasach naszego materjalizmu i oszczędności rządów, mianowicie europejskich, dla wydatków na nauki — ten

kon powinien sam wystarczyć, — że to nie może być taką bagatelką, jaką się wydaje.

Zwracamy na to tém chętniéj uwagę, że w umysłach naszych — płytkość nasza obecna — mierzy wartość rzeczy na ilość pieniężną, — i na najszlachetniejsze uczucia już często słyszeliśmy odpowiedź: „das bringt nichts ein“ — to nie przynosi żadnego zysku.

„Co mi tam do tego, czy tarcz słoneczna ma 8 czy 9 dziesiątych sekundy — mniéj lub więcéj?! A niech sobie ma i 4 miljony stopni, — to mi obojętne!“ zawoła każdy, który więcéj sobie tego życzy, ażeby te a te papiery poszły o 2½ lub 3 procent w górę, — niż żeby jego syn lub córka miała 2½ lub 3 cnotliwych przymiotów więcéj. Naturalnie, że w takich ludzi — może kto ma siłę i orać pługiem — jak końmi. Tacy są tylko parobkami społeczeństwa mniéj więcéj zamożnymi, mniéj więcéj z pańska ubranymi — ale nie są obywatelami kraju — w całém znaczeniu tego słowa.

To pewno — że bezpośredniego, pieniężnego zysku ta naukowa wyprawa nie przyniesie, — choć miljony talarów kosztować będzie, — choć przeszło tysiąc ludzi narazi na ogromne trudy długiéj morskiéj podróży i na niewygody w krajach zupełnie dzikich. Ale dla umiejętności saméj gwiaździarskiéj wyniki z tego obliczenia muszą być ważne, skoro tylu kosztów i zachodów nawet takie rządy nie szczędzą, — które wolą wydać miljon talarów na broń — niż 10 talarów na naukowe cele podrzędne.

Amerykański rząd wysyła swych uczonych do Chin, do Japonji i do Syberji, — do stacji Pekinu, Jokama i Władywostoku, — a czwartą wyprawę na wyspy Chin lub Japonji; pięć innych wypływają do wyspy Kergelen, do Tasmanji w Australji, do Nowéj Zelandji południowéj, do Auklandu i na wyspę Chatam.

Niemcy obrali sobie Tszefoo w Chinach dla jednéj, a wyspę Kergelen dla drugiéj wyprawy.

Francuzi do Jokoama jedną, drugą na wyspę Amsterdam, trzecią na wyspę San Paolo.

Rosja wyprawia do dwudziestu i siedmiu miejsc, głównie nad brzegami Oceanu Spokojnego i na wschodzie Syberji.

Anglja wysyła pięć wypraw: do Woahoo, do Auklandu, na Nową Zelandję, na ludożerców wyspę Kergelen i na wyspę Rodriguez. Rząd wyznaczył 125,000 franków na zakup samych narzędzi matematyczno-astronomijnych.

Druga ciekawa okoliczność tych wypraw, na które już od kwartału czynią przygotowania, a które za kilka tygodni z miejsc do celu wyruszą, jest ta — że czas, w którym to spostrzeżenie się odbędzie, trwa w ogóle 4 godziny i 41 minut, z którego to czasu są najważniejsze dla astronomów ledwo kilka sekund z początkowego i kilka sekund z końcowego kwadransu.

Więc te wszystkie trudy i koszta są dla kilku sekund czasu i dla sprawdzenia cząstki jednéj trzechtysięcznéj sześćsetnéj części przestrzeni minutowéj przedziałki, jaką przebiega wskazówka na tarczy zegarowéj i to tylko w dniu 8 grudnia tego roku.

Podobnéj okoliczności trzebaby odczekać dopiero za lat 8, t. j. r. 1882, albo za lat 130, t. j. roku 2004; a dwie poprzednie były w latach 1761 i 1769, a jeszcze dawniejsze w latach 1631 i 1639, z których pierwszą przepowiedział Kepler, ale nie badali téj okoliczności naukowo.

Ażeby dać dobre wyobrażenie o co tu chodzi i o całéj trudności tych badań, wróćmy do naszéj tarczy zegarowéj. Wystawmy sobie, że środek téj tarczy umieszczamy w samym środku kuli i tak, ażeby jedna wskazówka, dostatecznie przedłużona, dotykała swym wolnym końcem słońca samego. Przedłużenia tego długość dziś niewiadoma, a o nią głównie chodzi, t. j. o oddalenie słońca od ziemi. Na tę długość nie zgadzają się astronomowie; jedni wyrachowali, że ona powinna być 154,690,800 kilometrów (wiorst) — inni znów, że 147,920,000 kilometrów tylko. O tę różnicę tedy: 6,770,800 kilometrów lub 902,775 mil jest ziemia albo dalsza albo bliższa od słońca.

Chwilowo obliczamy oddalenie środka ziemi od środka słońca na 20 miljonów mil; dawniéj liczyli tylko 16 miljonów, opierając się na odległości xiężyca naszego od ziemi.

Dowiemy się o innéj liczbie po powrocie tych wypraw. Dnia 8 grudnia pomiędzy ziemię a słońce wtoczy się świat podobny naszemu, planeta zwana Wenus, którą często widzimy na niebie w blizkości słońca albo zaraz po jego zachodzie wieczorami, albo krótko przed wschodem słońca rano, jako najjaśniejszą gwiazdę na niebie, znaną pod nazwami jutrzenki i gwiazdy wieczornéj. Przez 4 godziny i minut 41 będzie ona widoczną na świetlistéj tarczy słońca jako plama okrągła purpurowo-ciemno-brunatna. Najważniejsze momenta dla astronomów są te chwile, gdy dla naszego wzroku ciemna tarcz Wenery swym krańcem dotknie się tarczy słonecznéj. Tę chwilę muszą obliczyć jak najskrupulatniéj, t. j. wypośrodkować o któréj minucie, sekundzie, a nawet tercji. Na tę chwilę mają całą swą uwagę zwracać angielscy gwiaździarze. Druga dla nich taka chwila będzie ta, w któréj tarcz brunatna tego planety opuści tarcz słońcową. Według tych chwil obliczano dawniéj oddalenie słońca. Zdaje się, że dokładniéj można oznaczyć chwilę tę, w któréj tarcz Wenery wtoczy się zupełnie na tarcz słoneczną, a z pod skraju brunatnéj Wenery błyśnie pierwszy promień z ledwo odkrytego skraju lewego tarczy słonecznéj; druga zaś chwila odwrotna, gdy skraju prawego tarczy słońca zgaśnie ostatni promyk dotknięty skrajem prawym tarczy brunatnéj — tego planety. Na te dwie chwile czekają Amerykanie, Francuzi i Niemcy; Rosjanie zaś będą obserwowali w połowie z Anglikami, a w połowie swych wypraw z Amerykanami i Francuzami.

Tarcz Wenery posunie się łukiem po tarczy słońca, a ponieważ ta ostatnia jest pozorowo 40 do 50 razy większa od pierwszéj, tarcz słoneczna będzie wyglądała niby przedziurawioną przez 4 godziny, — albo jak gdyby przesuwano pieniążek mniejszy o połowę od srebrnéj pruskiéj trzygroszówki albo półcentówki — po talerzu zwykłym białym porcelanowym.

Dla nas to zaćmienie nie będzie widzialne, bo przypada na czas pomiędzy drugą a piątą rano, gdy słońce u nas dopiero wejdzie jedną minutę przed 8. Dla tego to podążą gwiaździarze w tę stronę kuli ziemskiéj, z któréjby tylko podeszwy nasze widzieli, gdyby ziemia była przezroczystą, a oni patrzyli ku środkowi ziemi.

Przepływ téj planety zaciemniający słońce pomiędzy nami a słońcem, przypadać tylko może w grudniu albo w czerwcu i to w odstępach czasu lat 105,5, 8 i 121. Polega to na zasadach prostego rachunku czysto arytmetycznego wcale nie zawiłego, i zawisło od względnych obrotów ziemi i Wenery. Zresztą Wenus co 584 dni przepływa między ziemią a słońcem.

Dopiero angielski astronom Halley (wymawiaj Helli, ur. 1656 † 1742) zwrócił w 1691 r. na to uwagę, że zaćmienie to słońca przez Wenus może posłużyć do rozmiaru oddalenia ziemi od słońca; to oddalenie jest podstawą wszelkich obliczeń oddaleń innych gwiazd, a przez to do rozmiarów całéj nieba przestrzeni. Właściwie dotąd w całéj astronomji jednego tylko xiężyca oddalenie od ziemi dokładnie jest wiadomém, i za pomocą tego oddalenia obliczano dotąd przez przybliżenie i odległość słońca od ziemi. Obliczenie za pomocą zaćmienia słońca przez Wenus jak Halley wskazał, przekonało, że dawniejsze obliczanie na podstawie odległości xiężyca od ziemi było za krótkie. A to co uczyniło niedokładném obliczenie sposobem Halleya, było to, że nie umiano sobie poradzić z tą chwilą, w któréj słońca rąbek lewy

błyśnie a prawy zgaśnie. Wenus już ubiegła bowiem przez kawałek tarczy słonecznéj, a rąbek słońca zakrywała jeszcze, okazując się na tarczy słonecznéj nie jako okrągła plama, ale jakoby flaszka z szyjką, która to szyjka się stykała z lewym rąbkiem. Ten błąd czyni kąt parallaxy 8 sekund i $^{5}/_{10}$ sekundy według obliczeń Lalande; Pingré zaś obliczył ten kąt na 8″88; Hall, Hornsby i Euler pomiędzy temi wartościami, a co stanowi, jakeśmy wyżéj powiedzieli, ową różnicę 902,773 mil czyli 6 miljonów 770,800 kilometrów.

Kąt parallaxy powstaje tym sposobem, że prowadzi się z jednego punktu ziemi, n. p. z Władywostoku prostą linję przez lewą krawędź tarczy Wenery na tarcz słoneczną i miarkuje się ten punkt dokładnie, gdy drugi astronom z innego punktu, n. p. z Nowéj Zelandji zkieruje swą lunetę na prawą krawędź tarczy Wenery i oznaczy drugi punkt na tarczy słonecznéj. Dwie te linje się zkrzyżują i utworzą 4 kąty, z których dwa równe wewnętrzre nazywają się kątami parallaxy. Gdybyśmy mogli położyć tarcz zegarka tak, żeby środek jéj przypadał tam gdzie się te linje krzyżują, natenczas skierowane dwie skazówki zegarkowéj tarczy w kierunku tych linji ku tarczy słońca lub ku punktom gdzie stoją astronomi, — dałyby właśnie rozwartość tego kąta t. j. 8 sekund i coś między 8 a 9 dziesiątych sekundy, czyli cząstkę $^{1}/_{3600}$ przedziałki minutowéj na zegarkowéj tarczy.

Teraz użyją środków zupełnie nowych do obserwacji, do oznaczenia tych dwóch punktów, — t. j. fotografji, — daléj doskonalszych narzędzi niż były — a mianowicie teleskopów; nawet obiecują sobie wiele dokładności od nowego instrumentu zwanego spektroskopem, który do lunet się przyłącza w stósownéj pozycji. Argelander, gwiaździarz niemiecki bardzo biegły, obiecuje sobie z heljometru, narzędzia nowego, jeszcze doskonalszych spostrzegań niż ze sposobów, o którycheśmy mówili co do styczności skrajów tarczy słonecznéj ze skrajami tarczy Wenus, t. j. sposobu Halley'a, dawniejszego, którego się Anglicy trzymają, — a wewnętrznych zetknięć skrajów, sposobu Delisle'a. Jego sposób polega na uważaniu posuwających się pozycji tarczy ciemnéj planety (do czego fotografijne zdjęcia mają dopomódz) na tle tarczy słonecznéj, biorąc za punkt stały środek téj tarczy, a mierząc kąty heljometrem, jakie tworzą te na linji prostéj mierzone odstępy z innym stałym kierunkiem. Francuz Faye pragnie fotografji z tych różnych pozycji Wenusowych na tarczy słonecznéj 15 centymetrów średnicy, odfotografowanéj za pomocą olbrzymiéj lunety, z fokusem oddalonym od oka 15 metrów. Obrazek taki słońcowéj tarczy miałby średnicę tak długą, ile zajmują w kolumnie tego artykułu 41 wierszy, a średnicą tarczy Wenusowéj zajmowałaby kółko takiéj średnicy, jak są wysokie w tym druku litery początkowe. Każdy pojmie, że fotografowanie dokładniéj oznaczyć może te pozycje, niż najbieglejszy astronom, bo aparat fotografijny nie jest nerwowym, nie znuży się, nie nagli, nie trwoży się, nie migają mu się jak w oku badacza przedmioty, nie myli się. Naturalnie, że późniéj obliczania astronomijne z takich obrazków wymagają ogromnéj dokładności i to po uważanin nie podczas niego, — a do tego ma się umysł spokojny i czas nie nagli, jak przy dawniejszych sposobach. Warrens De-La-Rue, Faye, Rutherfurd, Newcomb (Njukom) zaręczają za dokładność rozmiarów, o czém znów wielu wątpi.

Amerykanie prawie wyłącznie na fotografowaniu mają się opierać. Rosjanie na wszystkich możliwych sposobach; Anglicy liczą na stare, już doświadczone obliczania i zauważania osobiste, okiem astronomów i obliczaniem czasu zegarowém.

Wrócić jeszcze dla lepszego zrozumienia rzeczy winniśmy — co do rozmiaru owéj $^{1}/_{3600}$ cząstki zegarowéj tarczy, czyli jaśniéj, co do kąta, jakiby objęły dwie wskazówki zegaru swemi wolnemi końcami. Że ten odstęp jest na tarczy zegarowéj taki maluteńki, nie mogący być uchwyconym naszemi zmysłami, — to przy dostateczném przedłużeniu tych skazówek, t. j. do samego słońca od pewnego punktu w przestrzeni oddalonego dostatecznie, — łuk między końcami tych skazówek zawarty miałby 186,000 mil długą podstawę: średnicę słońca, które jest tak wielkiém, w stosunku do ziemi, jak ogromna dynia (korbal) mająca metr średnicy (półtora łokcia) jest w porównaniu do ziarnka grochu cukrowego.

Zwracamy tu uwagę głównie na tę okoliczność, ile najdrobniejsze, najnieznaczniejsze na pozór bagatelki w dziełach natury wpływu mają — na ostateczne wyniki. W Ognisku pouczano nas lekkomyślnie, że matematyczne liczby i pewniki są nieomylne, są niezachwianéj podstawy. „Kiedy Tyg. Wielkopolski — prawi Ognisko, Nr. 19 — swojim mistycyzmem przejęty, z litością spogląda na świat ludzki, odmawiając jego wynikom naukowym wszelkiéj pewności, twierdzeniom matematyków nawet przypisuje zmienność i brak podstawy stałéj, — my przeciwnie uznajemy zdobycze naszéj wiedzy, czynnością naszego mózgu i naszych zmysłów osiągniętéj za pewniki (sic) i t. d. Tak tedy kardynalnie się różniąc w zapatrywaniu od Tyg. Wielkopolskiego, nie dziwimy się wcale niezgodności zobopólnéj w osądzaniu pojedyńczych twierdzeń naukowych.“ Mamy tu jawny dowód, że cała astronomja, mimo swéj dziwnéj precyzji, mogącéj przepowiadać na minutę, sekundę i tercę przejście jakiéj planety przez ekliptykę, na setki lat naprzód, — że mimo to te obliczenia są tylko na fikcyjnych, tymczasowych oparte liczbach, — bo nie mamy do oddaleń ciał niebieskich żadnéj pewnéj podstawy. Pan Dr. z Ogniska nie ma nawet pojęcia dobrego o matematyczno-astronomijnych obliczeniach, — a wyrokuje niby jaki Argelander lub Biddel-Airy i ma ślepą wiarę dogmatyczną w przypuszczenia matematyczne. Ten ład, ta precyzja w gwiazdziarstwie polega li tylko na dokładném obliczeniu kątów, czyli na nachyleniu, na rozwarciu n. p. skazówek na tarczy zegarowéj. Ztąd wcale nie wypada, ażeby długość ramion kąta czyli długość tych skazówek była wiadomą, — a ta dopiero dokładności doda astronomijnym obliczeniom i wykaże rzeczywisty stan rzeczy, — dotąd li na przypuszczeniach, na hypotezach, na liczbach fikcyjnych, tymczasowych oparty.

Da Bóg doczekać, udowodnimy w przyszłym numerze, że hypotetyczne są nawet wyobrażenia naukowe o długości matematycznéj najprostszéj miary, t. j. długości metra — którego podamy bardzo ciekawą historją.

Wł, hr. Chotomski.

Lutnista.

Na niebios łonie złota gwiazdka drżała,
Na ziemi kwiaty stuliły kielichy,
I patrzał na nie smutny księżyc cichy,
Bo to noc była — noc latowa biała!

A tam gdzie kwiatów woniące bukiety,
Sparty na lutni siadł młodzieniec blady,
Patrząc w promienne źrenice kobiety
Lśniące wymowniéj niż świateł mirjady.

On coś jéj śpiewał o gwiazdach na niebie,
O rajskiém szczęściu na téj chmurnéj ziemi,
Klął się na księżyc i usty drżącemi
Rzekł z uniesieniem: „luba, kocham ciebie.“

Piękna dziewica główkę pochyliła,
Mówiła z cicha: „o nie klnij się na nic,
Wszak miłość nasza święta i bez granic
I żadna ziemska nie zniszczy jéj siła!

A choć rozłączą nas góry i rzeki,
Zawsze ty patrząc na te gwiazdki drżące,
Przypomnij sobie serce me tęskniące,
Które ci wierne zostanie na wieki!....

Znów pieśń płynęła z tajnych głębin serca,
Zdumiony słowik słuchał się ciekawie,
Poprzestał śpiewu — tylko na murawie
Słał cienie księżyc — ponury szyderca!

Marny, znikomy śnie ty duszy młodéj
Lecisz w niebiosy, gdy rzeczywistości
Szatan polotu w niebo ci zazdrości
I z wiarą twoją idzie już w zawody!

O straszna wiaro w ziemskie ideały,
Ty w sercu ludzkiem nie możesz pozostać,
Na szczycie szczęścia trzeba się z nią rozstać,
Choćby téż serce rwało się w kawały!

* *
*

Znowu jak niegdyś blady księżyc płynie,
Znowu jak niegdyś kwiaty rozmarzone,
Ku ziemi chylą kielichy zroszone,
I nuci słowik piosenkę w krzewinie!

Tam na pagórku w drewnianym kościele
Weselnym hymnym huczy organ stary,
I w koło widać strojne w kwiaty pary,
Oblubienicę zdobną w mirtu ziele!

Wtém „tak“ wyrzekła spokojnie i dumnie,
Tylko w jéj piersi coś westchnęło strasznie,
I jęk się ozwał w téjże chwili właśnie
W progu świątyni, a lud zbiegł się tłumnie.

Jakież to widmo, co za postać blada?
Pytają tłumy, przypatrują z bliska,
Chmurny młodzieniec nic nie odpowiada
Tylko spojrzenia sztyletami ciska!

A panna młoda blednieje jak chusta,
On patrzy na nią i wznosi prawicę,
Jakby chciał zakląć — ale nagle lice
Uśmiech wykrzywił i zamilkły usta!

Potém boleścią i męką pijany,
Wypadł z świątyni tuląc starą lutnię,
I grał raz jeszcze tak rzewnie i smutnie,
Że zdał się płakać księżyc zadumany!

Z piersi lutnisty zabrzmiał śmiech szalony,
Rzucił do koła bezmyślne spojrzenie,
I śmiał się ciągle, a jeszcze wejrzenie
Zwracał, gdzie w dali lśnił gmach oświetlony.

I tak jak niegdyś płynął księżyc biały,
I tak jak niegdyś kwiaty rozmarzone
Ku ziemi gięły kielichy zroszone,
Tylko słowiki smutną pieśń śpiewały!

Uriela.

Tajemnicza szkatułka.

Powieść osnuta na prawdziwém zdarzeniu.

(Ciąg dalszy.)

II.

Pan dyrektor zaraz nazajutrz odwiedził rodzinę hrabiów Rikoczy w ich pomieszkaniu, a w dwa dni póżniéj przybył ucieszony z oznajmieniem, iż kuferek hrabiny Rozalji znaleziono.

— Więc go nie ukradziono! zawołała hrabina nie mogąc ukryć radości.

— Nie pani, — odrzekł dyrektor z uśmiechem, — zapewne ten kto to uczynić zamierzał odkrył, iż nie masz w nim nic dlań użytecznego i wolał go dobrowolnie zwrócić właścicielce, niż być ściganym przez policję.

— Więc pan rozumiesz, iż przeszukano mój kuferek? — zawołała hrabina z przestrachem.

— Nie twierdzę tego bynajmniéj — rzekł dyrektor zdziwiony przestrachem hrabiny — przypuszczam tylko, iżby tak być mogło. Zresztą musiałby to być dość grzeczny złodziéj, który tak piękne zapewne rzeczy chciałby tylko obejrzeć a nie przywłaszczyć ich sobie.

— Lecz jakże mam sobie teraz postąpić? — zapytała hrabina.

— Odeślesz pani na pocztę nieswój knferek a odbierzesz zagubiony. Pobawiwszy jeszcze przez kilka chwil oddalił się, odebrawszy serdeczne podziękowania hrabiny i Łucji.

W ten sam dzień około wieczora nieznajomy młody człowiek, który pod telegramem podpisał się Juljusz Melville, odebrał z Wiednia następujący telegraf: „Wszystko idzie dobrze, proces wytoczony, prosimy niespuszczać ich z oka, listownie więcéj.“ Dla Melville te niezrozumiałe zdania zdawały się zupełnie jasnemi. Przeczytawszy telegram, pokręcił wąsik i mruknął pod nosem: Żeby tylko ten dyrektor nie wlazł nam w drogę.

Hrabina po odejściu dyrektora zamknęła się w swoim pokoju; z niezmierną lękliwością otworzyła kuferek i zaczęła przeglądać znajdujące się w nim przedmioty. Były to po większéj części rzeczy służące do stroju, czepki, koronki, wstążki, szale i t. p., na samym zaś spodzie stała mała, czarna szkatułeczka z hebanowego drzewa misternéj roboty, wykładana perłową macicą i drobniuchnemi muszelkami.

— Ah otóż jest! — zawołała hrabina z niezmierném wzruszeniem. — O ileż niepokojów przecierpiałam już o nią! Czy nie lepiéj byłoby ją zniszczyć! Ale nie, ostatnia wola zmarłéj powinna być szanowaną. O ja drżę cała, ile razy spojrzę na nią! O bo ona ukrywa strasznliwą tajemnicę!...

Tak mówiąc do siebie Rozalja postawiła na stole tajemniczą szkatułkę, a że już ciemnieć zaczynało, zaświeciła lampę i przy jéj świetle oglądała ją z wszystkich stron. — Czy tylko jest nietkniętą, — rzekła i wyjąwszy z kieszeni kluczyk otworzyła ją. Na wierzchu leżał list złożony. Hrabina przypatrywała mu się przez chwilę, nagle zbladła i zawołała z przerażeniem: — Cóż to jest?... téj plamki nie było na nim... jest to wyraźnie odcisk palca. Jezus, Marja! ten papier był w cudzych ręku, jesteśmy zgubieni!...

W téj chwili Łucja weszła do pokoju hrabiny, usłyszała bowiem przez drzwi jéj narzekania.

— Droga Rozaljo, cóż ci to? — zawołała z współudziałem.

— Ah nic, nic, ten nieszczęsny kuferek, — odpowiedziała wahając się hrabina.

— Cóż z nim znowu? — zapytała Łucja.

— Oh, ja ci tego powiedzieć nie mogę.

— Ale ja chcę koniecznie wiedzieć. Ten kuferek jest tak coś zagadkowego, tajemniczego, że i mnie zaczynają przejmować jakieś dziwne niepokoje. Musisz mi koniecznie powiedzieć, co to wszystko znaczy.

Hrabina wstrząsnęła smutnie głową.

— Dobrze więc, kiedy mi nie ufasz, odchodzę sobie.

— O zostań, zostań, — zawołała hrabina błagalnym głosem, — o ja jestem tak niezmiernie nieszczęśliwą, przestraszoną, nędzną.

Łucja wzruszona uścisnęła płaczącą bratowę i obiedwie pozostawały tak przez kilka chwil w milczeniu, przerywaném tylko głośném łkaniem hrabiny. Nakoniec Łucja uspokoiwszy się pierwsza, rzekła stanowczo:

— Powiedz otwarcie droga Rozaljo, co jest właściwie przyczyną tych twoich cierpień, a może zdołamy ją usunąć.

— O, mnie nic pomódz nie może, — odrzekła płacząc Rozalja.

— Więc czego zmienić nie można, trzeba znosić z poddaniem się woli Bożéj, — rzekła Łucja.

— To dla mnie zbyt trudno. Przeszłość grozi mi ciągle, że swemi skutkami zatruje me życie, a to jest przyczyną mych cierpień.

— Nie pojmuję twoich słów Rozaljo — odpowiedziała Łucja; po chwili namysłu dodała: — Uspokój się droga siostro i wytłómacz się jaśniéj. Wiesz przecie, że do mnie możesz mieć zaufanie.

Hrabina uspokojona nieco stałością Łucji, otarła łzy i tak mówić zaczęła:

— Zmarła żona twojego brata pozostawiła mi papiery, które dla niéj nader musiały być ważnemi; ale brat twój nic o tém wiedzieć nie ma.

— Wszakże moja zmarła bratowa była twoją przyjaciółką? — zapytała Łucja.

— Tak, kochałyśmy się od dzieciństwa, byłyśmy razem na pensji, i obiedwie znałyśmy dobrze twego brata. Późniéj, gdy brat twój ją sobie obrał za żonę, nie widywałyśmy się tak często jak dawniéj, a nawet rzadko pisywałyśmy do siebie, bo nasze drogi różnie się w świecie pokrzyżowały. Jednakże przyjaźń łącząca nas od dzieciństwa nie zmieniła się, i odbierałam czasem od niéj listy, które mi dawniejsze nasze stósunki przypominały. Tylko w ostatnich czasach jéj listy były coraz krótsze i zimniejsze, ograniczające się prawie jedynie na doniesieniu o miejscu ich chwilowego pobytu.

— Moi braterstwo podróżowali prawie ciągle w ostatnim roku, — przerwała Łucja.

— Tak, i to było może przyczyną, iż ona w małżeństwie swém nie znajdowała spodziewanego szczęścia.

— Wiem o tém — odpowiedziała krótko Łucja.

— A jednak kochała ona twego brata namiętnie. Lecz zdaje się, że mężczyzni nie umieją czasem cenić tak wielkiéj miłości. Twój brat...

— On znajdował się wtenczas w przykrych stosunkach majątkowych — przerwała Łucja — a to czyniło go oziębłym i często niesprawiedliwym dla żony. Lecz w takiém położeniu było mu to do wybaczenia.

Rozalja więcéj uczuciowa niż siostra mężowska, spojrzała na nią z wyrazem wyrzutu i zdziwienia nad uwagą, która jéj się aż nazbyt praktyczną w ustach młodéj dziewczyny zdawała.

— Być może — rzekła — krótko mówiąc twoja bratowa zdawała się mieć ciężkie zmartwienie na sercu, które przedemną ukrywać usiłowała; lecz ja odgadłam je sercem. Nagle przeszłego lata — odebrałam od niéj list pisany w drodze do Wiednia, w którym mi donosi, że jest chorą i że przeczuwa blizki zgon.

— Były to już zapewne początki cholery, która wówczas wybuchła właśnie w Wiedniu i ją jako jednę z najpierwszych ofiar zabrała — przerwała Łucja.

Rozalja spuściwszy oczy nie odpowiedziała nic na to, lecz mówiła daléj. W tym liście dziękowała mi za przyjaźń, którą jéj dochowałam tak wiernie i prosiła by nawet śmierć jéj między nami nie zrywała, gdyż ma polecenia, które mnie tylko powierzyć może. Rozalja umilkła spojrzawszy lękliwie na stojącą na stole czarną szkatułkę. Zdawało się jakby zbierała moc do ważniejszych odsłonień.

— Znasz nagłą, nam wszystkim tak niespodziewaną śmierć twojéj bratowéj Karoliny, nie potrzebuję więc wznawiać tych wspomnień...

— Była to występna lekkomyślność mojego brata, przerwała Łucja, że właśnie wtenczas pojechał do Wiednia, gdy tam wybuchła zaraza. Ale oni oboje byli tak nieostrożni w tym względzie.

Rozalja mówiła daléj: — Odebrawszy jéj list pospieszyłam natychmiast do Wiednia, by ją pielęgnować w chorobie, lecz niestety za późno przybyłam! Nie zastałam już nawet na pogrzeb, bo gospodarz hotelu w którym umarła postarał się o to, aby ją jak najprędzéj pochowano, lękając się wstrętu publiczności dla swego hotelu. Nie bawiąc więc w Wiedniu powróciłam natychmiast do domu

Rozalja umilkła znowu, pogrążona w głębokiéj boleści.

Gdy w kilka miesięcy potém zaślubiłam twego brata i miałam opuszczać mój dom rodzinny, znalazłam wśród moich rzeczy opieczętowany pakiecik, który nadszedł był właśnie w ten dzień z Wiednia, gdym ja tamże pojechała dla pielęgnowania choréj Karoliny; po moim powrocie zapomniano mi go wręczyć. Otworzywszy ten pakiecik znalazłam w nim tę szkatułkę, a w niéj rolkę opieczętowanych papierów i list otwarty Karoliny, pisany w ostatnich chwilach jéj życia. I ten to list nabawił mnie tych okrutnych niepokojów, w których odtąd pędzę me życie.

— Czy to być może? zawołała Łucja w największém zadziwieniu.

— Odkryję ci tę tajemnicę, jeżeli poprzysiężesz wieczne milczenie, — rzekła hrabina uroczyście. Przeczytaj ten papier i powiedz czy nie mam słusznéj przyczyny do mych niepokojów.

To mówiąc hrabina schwyciła papier leżący na wierzchu szkatułki i bacznie mu się znów przyglądała. Obiedwie młode kobiety schyliły się nad papierem.

— Ja tu nic nie widzę — rzekła Łucja spoglądając to na papier, to na bratowę.

Nie widzisz nic? a masz przecież bystre oczy. Lecz uważaj, nie jestże to jakby odcisk palca?

— Tak, to jest maleńka plamka...

— Otóż to, zawołała Rozalja z żywością. To jest odcisk palca, ten list znajdował się w cudzych ręku.

— Lecz może ta plamka od twojéj własnéj ręki pochodzi?

— Nie, nie, wiem z pewnością, że ten papier był zupełnie czysty.

— Więc ty się domyślasz, że otworzono kuferek i szkatułkę, gdy był przemieniony? rzekła Łucja z namysłem.

— Może go umyślnie schwycono, chcąc się dowiedzieć, co ta szkatułka zawiera.

— Ale dla czegożby to kogo tak zajmować miało? zapytała Łucja po chwili namysłu.

— Że to kogoś a może wielu bardzo obchodzi, domyślam się z okoliczności, w jakich ta szkatułka do

mnie wysłaną była. Lecz dla czego? — to jest właśnie, co mnie tak niepokoi i dręczy.

— Czy nie wiesz niczego coby tę zagadkę rozwiązać mogło?

Rozalja schyliła w milczeniu głowę, lecz w jéj rysach widać było, że rozmaite domysły duszę jéj dręczyły.

— Lecz cóż tam na tym nieszczęsnym papierze napisano? rzekła teraz Łucja i wziąwszy go zaczęła czytać, podczas kiedy Rozalja pałającém spojrzeniem śledziła uczucia wyrażające się na twarzy młodéj dziewczyny.

Pismo było pisane ołówkiem dość niewyraźnie a ku końcowi prawie nieczytelnie i zawierało te tylko wyrazy:

„Droga, jedyna przyjaciółko moja! Gdy ten list odbierzesz, już mnie nie będzie pomiędzy żyjącymi. Uważaj je więc — zaklinam cię na wszystko co ci najświętszego na ziemi — uważaj je jako mój testament, jako moją ostatnią wolę, którą wypełnić powinnaś. W dołączonéj szkatułce znajdziesz opieczętowaną rolkę papierów. Niechaj one pozostaną nieodpieczętowane! rozumiesz — niechaj nikt nie waży się ruszyć ich — w tym tylko chyba razie, gdyby honor, szczęście lub życie mego męża zagrożone być miało. Rozumiesz — tylko wtenczas! Niechaj one będą tak jak proszek moszusu, który się wtenczas tylko daje choremu, gdy mu największe grozi niebezpieczeństwo. Ale biada ci, biada memu mężowi, jeżeli ważycie się je pierwéj otworzyć! Otworzenie ich jest tylko rozpaczliwym środkiem, który użyty za rychło, zatrułby całe szczęście i życie mego męża!

Ale te papiery nie powinny także być zniszczone, to byłoby równém nieszczęściem. Niech one pozostaną jako skarb rodzinny, o którym się w szczęściu zapomina, a w nieszczęściu dopiero udaje się do niego. Żadne także oko widzieć ich nie powinno, gdyż mogłyby się straszliwą stać bronią.

Mój mąż ma nic o nich nie wiedzieć, gdyżby go one może o śmierć przyprawiły.

On mnie często umartwił, lecz ja błogosławię go, bom go nad życie kochała!

Po mojéj śmierci ożeni on się zapewne z tobą, on kochał cię dawniéj i szczerzéj niż mnie, wiedziałam to kiedyś, ale upór i miłość zaślepiły mnie. Wydarłam ci go i rozumiałam, że moja miłość zdoła wykorzenić uczucie, które miał dla ciebie w swém sercu. Jak okropnie myliłam się! — Czuję, że chwila konania zbliża się! — Bądźcie szczęśliwi! — Lecz jedyném zadatkiem szczęścia waszego jest, abyście święcie moją ostatnią wolę wypełnili. Ostatnie tchnienie poświęcam wam moi drodzy!“

Karolina hr. Rikoczy.

Łucja przeczytawszy to pismo, upuściła je z ręku i siedziała przez chwilę jakby ogłuszona. Ta silna, energiczna młoda dziewczyna zdawała się teraz, równie jak jéj bratowa, upadać pod ciężarem złowrogich domysłów, zbudzonych w jéj duszy przez list ten, będący niby trucizna, którą połknąwszy oczekuje się jéj skutków. Rozalja pochyliła się w róg kanapy, zakryła twarz rękoma i kurczowe łkania wydzierały się z jéj piersi. Tak siedziały długo obiedwie, nareszcie Łucja uspokoiwszy się nieco, rzekła:

— Może to są tylko chorobliwe urojenia umierającéj?...

— Zapominasz, że Karolina już mnie była na to w pierwszym swym liście przysposobiła.

Na ten zarzut Łucja nie miała co odpowiedzieć. Wstała, przeszła się kilka razy po pokoju a potém zatrzymując się przed Rozalją, schwyciła jéj ręce i rzekła z wyrazem serdecznego dla niéj współudziału:

— Dajmy temu wszystkiemu pokój; niech to pozostanie zagadką, któréj rozwiązać nie można!...

— Ale, którą inni rozwiązać się starają lub już może rozwiązali, — rzekła Rozalja stłumionym głosem.

— Czyż mniemasz, że list ten był w czyich ręku? zapytała Łucja. — Patrz, rólka papierów przecież nie tknięta, pieczątki nienaruszone. Choćbyśmy nawet przypuszczali, że ktoś list ten miał w ręku, to widać, że przeczytawszy go, nie zaciekawił się bynajmniéj tém co ta rólka zawiera, bo czemużby jéj nie mógł był zabrać i nieprzyznać się do tego, że skradł kuferek. Nie stało się więc nic takiego, coby cię tak gwałtownie niepokoić potrzebowało.

— Jednakże te przedstawienia nie wywarły żadnego pocieszającego wrażenia na Rozalję. W jéj duszy zdawał się istnieć niepokój, którego stłumić nie mogła.

— Udaj się teraz na spoczynek, droga Rozaljo, prosiła Łucja. Jutro postaramy się o to, by się dowiedzieć, kto nam ten kuferek zamienił, bo ztąd będziemy mogły przynajmniéj wnosić, czy można liczyć na dyskrecję tego, który tak dziwnym sposobem został wtajemniczony w te smutne dzieje naszéj rodziny.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Historja Tygodnika.

Zabawném się nam wydaje to położenie, w jakie nas korespondent Gazety Toruńskiéj wprawił swém niby tajemniczém zapytaniem: „Nie wiem czy znacie historją Tygodnika Wielkopolskiego, zwłaszcza tegoroczną.“

Otóż jest taka:

Miało upaść to jedyne pismo polskie czasowe n i e p o l i t y c z n e, w obu kierunkach tego znaczenia — z pierwszym stycznia. Zacny nakładca zdał mi cały ciężar redakcji i administracji z passywami, byle już nie brnąć daléj. Dotąd nie opłaca się, mimo że nie wydaliśmy grosza na honorarja, bo na to nie ma, — a pomoc bardzo nieliczna, bo redukująca się na damach: Paulinie Wilkońskiéj, Emilji i Gabryjeli Puffke (Urjeli), A. M. K., A. S., Halka (Wielkopolanka), — a z panów: Dr. Wacław Zaręba, Alexander Morgenbesser, Bolesław hr. Chotomski, Antoni Sozański, Edmund Callier, Franciszek Gumowski, Władysław Kisielewski, Wdowiszewski, X. kan. Polkowski, X. licenc. Chotkowski, Mieczysław hr. Dunin-Wąsowicz, Ludwik Kurtzmann, Tadeusz Komar, X. Z., i Wilhelm Pohl. Jedynie p. Michał Bałucki otrzymał honorarjum jeszcze od poprzedniéj redakcji za swój wierszyk. Ze subsydjów otrzymaliśmy od JW. Antoniego Mora Morzyckiego 30 rs. z Ruszkowa pod Sempolnem, od inżyniera Wiktora Zienkowicza z Medjolanu 200 franków w dwóch ratach po 100 fr. i od generała E. Taczanowskiego 25 tal., a dopłacamy gotówką tygodniowo 3 tal. 10 sgr. na znaczki pocztowe, i rośnie dług w drukarni szlachetnego Ludwika Merzbacha, który dotąd odczekiwał i odczekuje lepszych czasów. Sto exemplarzów rozsyłamy darmo Redakcjom i towarzystwom rozmajitym polskim. Liczba exemplarzów drukowanych była 600, z tych blizko 100 zostawało, przeszło 100 rozsyłano gratis, przeszło 400 było płatnych po sześć, cztery i trzy złotych kwartalnie, co nie opłaca jeszcze koszków druku i papieru.

Taka jest historja tego pisma. Na 115 listów naszych — proszących o współpracownictwo lub o radę różne znakomitości nasze, — odpowiadały nam albo:

„ile zapłacisz“ — albo: „łatwiéj nowe buty zrobić, niż stare łatać.“

Prasa, oprócz Gazety Narodowéj, pomijała nas milczeniem. Czas nawet na zamianę nie przystał, ani Gazeta Toruńska, — a biły na nas Gazeta Lwowska, Przegląd Lwowski, Gazeta Narodowa, Dziennik Polski, Wiarus. — Hasło zaś przedrukowało jeden nasz artykuł.

Smutna to historja półrocznego istnienia niniejszego Tygodnika, ale prawdziwa.

Mimo to zaręczamy, — że nietylko nadal Tygodnik Wielkopolski pożyje, ale i przeprowadzi walkę w interesie zapanowania Opinji publicznéj nad sobkostwem, które nas niby pleśń brudzi i zbezwładnia. Jeszcze jest więcéj uczciwych, niż łajdaków, — więcéj ludzi lubiących prawdę, niż mających interes — zatykania jéj ust.

Nie wdamy się w politykę zewnętrzną — ani w kwestje religijne, — ale o ile moralność tego wymaga — nie raz zajrzemy najpotężniejszym łotrom śmiało w oczy, — skoro tylko zachce im się nam przodować na mocy swych worków złota — czy wpływu klijenteli.

Niech drżą przed opinją publiczną słabi, — niech się kryją podli, — niech się nie waży nikt stanąć na czele, kto nie jest czysty na sumieniu i w życiu prywatném. Mamy nie bardzo szerokie pole, ale bardzo głęboko zaległe brudy i śmieci do wymiecenia, czy tu, czy w Galicji, czy gdziekolwiekbądź w naszéj ojczyznie. Z nieprzyjaciołmi zewnętrznymi nie przyszedł czas się rachować, — ale z wrogami wewnętrznymi zawsze jest czas, zawsze pora.

Niech nam nie zarzucają, że rozdwajamy społeczność naszą. To rozdwojenie powinno i musi nastąpić. Złych i słabych ludzi ma każdy stan, każde społeczeństwo, — ale niech ci ostatni nie drą się bezczelnie jako nasi naczelnicy, — niech pozostaną ludźmi prywatnymi, a damy im pokój. My mamy na celu łzy i przekleństwa ofiar podłości lub głupoty tych, co dla zysku lub próżności stanęli na naszém czele, — a nie względy lub przyjemność. My nie bijemy tyle n. p. na hr. Platera za upadek Tellusa, ile na tych, co podkopali, co byli przyczyną pierwszą upadku téj instytucyi.

Mówią nam, że po warjacku występujemy. Jak tu nie warjować w obec tyle bezczelności w narodzie, który ma godnie stanąć w rzędzie narodów? Komu milszy uścisk lub ukłon takich Łyskowskich Mieczysławów, Jaraczewskich Zygmuntów, — niż interes prawdy — ten niech nas nie czyta.

Znajdzie atoli u nas głos każda wdowa, każda sierota, każdy ukrzywdzony — któremu nie zdoła pomódz władza sądowa, pisane prawo — ale którego poprze i obroni opinja publiczna, — gdy stanie tak jak stała niedawno temu, — nie ma lat 20, gdy stali nam na czele Brodowscy, Potworowscy Gustawowie, Macieje Mielżyńscy, Marcinkowscy. I dziś mamy takich, — lecz ci się wahają podnieść głos i stanąć na równi z ludźmi nieprawością skalanymi.

Niech staną na czele tacy: Władysław Kosiński, Władysław Bentkowski, Mieczysław i Franciszek Kwileccy, Bolesław Potocki, Jan Działyński, Leon Smitkowski, Józef Mielżyński, St. Koźmian poeta!, Stanisław Chłapowski, Edward Poniński, Dr. Karól Libelt, pułkownik Skarzyński, Dr. J. Chosłowski, H. Szuman i wielu, wielu innych tym podobnych, ale niech nie maskują się nimi podli, — a nie będziemy mieli powodu rozdwajać naszego społeczeństwa. To naszym celem — i wedle woli Boga dopniemy tego prędzej czy późniéj.

Redakcja.

Smiertelny grom Gazety Toruńskiéj w sprawie budowy teatru polskiego przeciw naszéj zaczepce.

Stósownie do przyrzeczenia w zeszłym numerze podajemy korespondencję z Poznania p. Majsterka do „Gazety Toruńskiéj“ z dnia 19 czerwca.

Gdyby nasi przeciwnicy mogli co zarzucić faktom — byliby już hałasu narobili co nie miara, — a tak czepiają się méj osobistości (a to im przebaczam) i mówią o wszystkiém, ale nie o tém — o co ich pytamy i co publiczność interesować może.

Korespondencja ta brzmi:

„Wspomniałem wczoraj o nowym krytycznym niby to kierunku, jaki tutejsze pisma niektóre przybrały, a miałem na myśli „Tygodnik Wielkopolski“ i „Ognisko.“

Nie wiem, czy czytujecie Tygodnik i czy Wam znany bieg jego żywota, mianowicie w bieżącym roku. Objął jego redakcją i od Nowego Roku prowadzi pan Władysław Dienheim Prawdzic hr. Chotomski, jeżeli dobrze nazwisko spisałem, bo długa to litanja a jeszcze dłuższa historja, o któréj inną razą, jeśli znajdę jakiego heraldyka, któryby o tém coś wiedział. Ile Tygodnik, pismo naukowe i literackie, przysłużył się pod tą redakcją nauce i literaturze, tego nie wiem i tego też nikt nigdy nie będzie wiedział, bo nikomu na myśl nie przyjdzie zastanawiać się nad niczém. To przecież pewna, że sam sobie jak najgorzéj się przysłużył, gdyż co miał abonentów i wzięcia zaprzepaścił już całkiém.

W ostatnim czasie rzucił się Tygodnik na najsmutniejszy rodzaj donkiszotyzmu, a ubrawszy się w stare szmaty stykaninki naukowéj i dosiadłszy chudego szkapska dychawicznéj frazeologji, rwie się na wszystko, czego pojąć nie zdolen. Taki to rycerz smutnéj postawy rzuca rękawicę Matejce, odsądza go od zyskanéj sławy, bredzi o tém, czego nietylko nie rozumie, ale rozumieć nie zdolen, narusza i artystę i człowieka najniesłuszniéj i najgłupiéj, walcząc nie racjami, nie argumentami naukowemi lub estetycznemi, ale wysuwaniem naprzód siebie i prawieniem światu o tém, ile on to miał sposobności do nauczenia się czegoś — gdyby była głowa po temu.

Po Matejce poszedł teatr polski w Poznaniu, poszło posądzanie ludzi o nieczyste sprawy, a że nikt z przyczyn sokratesowskiéj przestrogi bronić się nie myśli i każdy z drogi ustępuje, hula sobie po swojemu w mocném przekonaniu, że bohaterskich dokonuje czynów.

Teraz począł bryzgać na Towarzystwo Przyjaciół Nauk, nazywając je Nieprzyjacielem Nauk i krzycząc, że stoji piorunom na przekór, że jak Rejtan nie ustąpi, choćby po nim deptali. Otóż ani pioruny nie spadną, gdyż te na wyższe zwykle spadają punkty, ani nikt nie będzie deptał, owszém wszyscy najtroskliwiéj unikają, żeby tylko nie poruszyć.

Smutna to historja, takie zdyskretowanie nauki i literatury, choć właściwie Tygodnik pod nową redakcją ni z jedném ni z drugiém nie ma nic a nic wspólnego.

Odpowiedzialny redaktor Wilhelm Pohl. — Nakładem E. Calliera. — Czcionkami drukarni L. Merzbacha.
Główny skład w Poznaniu w księgarni Tygodnika Wielkopolskiego, w księgarni K. Reyznera i u M. Leitgebera.